

Agata Dąbek – „Śmiech i trwoga”

Teatr nr 10/10.11, 16 listopada 2011

link: <https://e-teatr.pl/Smiech-i-trwoga-a125236>

"Jednoręki ze Spokane" w reż. Any Nowickiej w Teatrze Barakah w Krakowie. Píše Agata Dąbek w Teatrze.

Najpierw podróż schodami w dół. Przejście jest wąskie, schody strome. Trzeba uważać, bo łatwo się potknąć. Na dole ktoś w krótkich spodenkach wykonuje z zapalem skrętoskłony, ignorując naszą obecność. Nieopodal znajduje się wejście do stosunkowo małego pomieszczenia - widniejący nad nim neon z napisem "Barakah" przypomina te zawieszone na murach podupadłych hoteli położonych przy rzadko uczęszczanych trasach. Po przekroczeniu progu faktycznie trafiamy do jednego z obskurnych pokoi hotelowych, wytapetowanego poszarzałymi plakatami dawnych gwiazd Hollywoodu i Broadwayu. Jego lokator Carmichael (Paweł Sanakiewicz), jednoręki, tęgi mężczyzna w średnim wieku, siedzi w fotelu z telefonem opartym na kolanie i pali jednego papierosa za drugim, niczym bohater starych filmów gangsterskich bądź dreszczowców. Łysy, ubrany w prochowiec, twarz ma pulchną, pobieloną, usta przyczernione. Swoją mimiką i oszczędnymi, lecz energicznymi ruchami zdradza napięcie i niepokój.

Nastrój ten stopniowo udziela się publiczności. To głównie zasługa chłopaka (Łukasz Łukasik) w czarnym garniturze, kapeluszu i ciemnych lenonkach, który siedzi w kucki obok jego fotela i gra na elektrycznej gitarze, wydobywając z niej niepokojące - a przez swą powtarzalność również monotonne - dźwięki, które odurzają, hipnotyzują. Właśnie muzyka sprawia, że sceniczny świat rodem z thrillera stopniowo zawłaszcza emocje i wchłania nas w siebie. Proces ten kończy się w chwili, kiedy wejście do sali teatralnej przeobraża się w element scenografii - okno pokoju hotelowego, z którego nie sposób się teraz wydostać. Spoglądając na ową rzeczywistość już nie z zewnątrz, lecz od środka, z perspektywy osób fizycznie w niej "uwięzionych" (przez Carmichaela?), coraz trudniej odmówić jej znamion realności.

Włączając widzów w obręb "kryminalnego świata", Ana Nowicka, reżyserka spektaklu, potęguje tylko doznania, których zwykle doświadczają oni "z bezpiecznej pozycji". Intensyfikacja doznań, jaka następuje jeszcze przed rozpoczęciem przedstawienia, stanowi emocjonalną ramę konwencji dreszczowca - punkt odniesienia, umożliwiający rozpoznanie zabiegów scenicznych, które reżyserka stosuje po to tylko, by ją zdeformować, drażniąc przy tym odbiorcze przyzwyczajenia. Ów zamysł inscenizacyjny odpowiada intencji samego McDonagha. Podobnie jak reżyserzy filmowi, bracia Coen czy Quentin Tarantino, dramaturg nie trzyma się przecież schematu, lecz prowadzi przewrotną grę z konwencją dreszczowca, wprowadzając w jej obręb elementy satyry, parodii i groteski.

Gra ta z pewnością nie należy do łatwych - reżyser i aktorzy muszą stale uważać, żeby nie przeholować. Sens tej czarnej komedii rodzi się bowiem gdzieś na styku parodii i grozy, śmiechu i przerażenia. Dowiodła tego choćby Katarzyna Deszcz, kilka miesięcy temu wystawiając "Jednorękiego ze Spokane" w Teatrze Powszechnym w Radomiu. Dzięki równomiernemu dawkowaniu humoru i grozy, absurdu i przerażenia, przemocy i melancholii zdołała wydobyć z tekstu tkwiące w każdym człowieku pragnienie życiowego celu i lepszego życia, wyeksponowała też kwestię rasizmu i stereotypów dotyczących płci. Jeśli równowaga między humorem i grozą, śmiechem i przerażeniem ulega zachwianiu, przedstawieniu "Jednorękiego ze Spokane" grozi

niepowodzenie. Może ono przekształcić się albo w czczą zabawę konwencją, w której śmiech staje się celem samym w sobie, albo w tani seans psychoterapeutyczny, w zależności od tego, jakie elementy przeważą. Spektakl Nowickiej, choć przemyślany i misternie skonstruowany, niestety to potwierdza.

"Jednoręki ze Spokane" to obraz niejednorodny, łączący w sobie znane widzom elementy konwencji dreszczowca z ich czytelną deformacją. Pierwszy "zgrzyt" pojawia się już w początkowej scenie, kiedy Carmichael dzwoni do matki. Mężczyzna, który początkowo napawał nas niepokojem, okazuje się "małym synkiem mamusi", takim, co to mimo upływu lat nie zdołał odciąć łączącej go z rodzicielką pępowiny. Dopiero kiedy słyszymy jego załamujący się głos, w którym wyczuwamy strach i niepewność, dostrzegamy przysłonięte płaszczem chłopięce spodenki do kolan i wysoko podciągnięte kolanówki - nieprzystające do wizerunku przestępcy znanego z kinematografii.

Daleka od klasycznego schematu dreszczowca pozostaje też akcja przedstawienia. Jej ogólny zarys szkicuje nonszalancki, pewny siebie Mervyn (Lidia Bogaczówna) - boy hotelowy, który wcześniej robił skrętoskłony. Podobnie jak widzowie czeka, aż wreszcie w hotelu wydarzy się coś dramatycznego. Kiedy wpada nieproszony do pokoju Carmichaela, podsuwa mu kilka przykładowych scenariuszy owego "dramatu- thriller", które można by "tu i teraz" zrealizować. Przy niepokojących dźwiękach gitary elektrycznej, budujących nastrój grozy, zaczyna okrążać mężczyznę, opowiadając mu o... odwiedzinach "gostków w długich płaszczach" z harpunami, tajemniczym kliencie z Nigerii, który kwateruje się w hotelu i chce mu sprzedać karuzelę oraz o wizycie pandy, bełkoczącej coś bez sensu... Absurdalność tych historii - potencjalnych scenariuszy dramatu, który mógłby się rozegrać - w połączeniu z "groźną" muzyką daje efekt komiczny. Dźwięki działają tu na zasadzie kontrapunktu, wyostrażają parodystyczne i groteskowe elementy dialogu i sytuacji.

Dopiero ostatnia historia Mervyna stanowi ośnowę spektaklu. Pojawia się w niej jednoręki mężczyzna i "biało-czarna parka", która nagle znika gdzieś bez śladu. Oczywiście "jednoręki" to Carmichael, od wielu lat próbujący desperacko odnaleźć swoją lewą dłoń, którą kiedyś odcięli mu bandyci i którą beczelnie pomachali mu na pożegnanie. Natomiast biało-czarna parka to młodzi dilerzy marihuany: czarnoskóry Toby (Ana Nowicka), który ciągle się mazgai, i jego dziewczyna w blond peruce - Marilyn (Monika Kufel), nie grzesząca inteligencją.

Marilyn wpada do pokoju Carmichaela przez okno zaraz po wyjściu Mervyna. W zamian za dostarczenie mu jego ręki domaga się uwolnienia Toby'ego, przetrzymywanego w hotelowej szafce, która wydaje się stanowczo za małą, by można było schować w niej człowieka. Dzięki scenicznemu gagowi nastrój grozy, ponownie wytworzony w tej scenie, ulega rozładowaniu: słychać śmiech publiczności. Podobnie dzieje się, gdy Toby i Marilyn zostają przykuci kajdankami do hotelowego łóżka, ponieważ ręka, którą dostał Carmichael, pozwalający sobie często na rasistowskie docinki, nie była biała, lecz... czarna. Wściekły Carmichael zakłada w pokoju ładunek wybuchowy, a sam udaje się do mieszkania dilerów, wierząc, że tam wreszcie znajdzie swoją rękę. Jeśli tak się nie stanie, ładunek eksploduje.

Podczas jego nieobecności młoda para, prowadząc szereg absurdalnych dialogów, bezskutecznie próbuje się uwolnić. Znajduje wtedy pod tapczanem walizkę pełną odciętych rąk, której zawartość wysypuje na kolana widzów siedzących w pierwszym rzędzie. Kiedy do pokoju zagląda Mervyn, z ociąganiem rozbraja ładunek, ale przekornie nie uwalnia pary - nadal przykutej do łóżka. Potem

spokojnie wraca na recepcję i miast wezwać policję, zaczyna szukać w Internecie informacji o dewiantach odcinających sobie kończyny.

Absurd prezentowanej historii ujawnia się z całą mocą w finale spektaklu. Oszukany, wściekły Carmichael wraca do hotelu. Nie rozprawia się jednak z młodą parą, lecz postanawia zwrócić jej wolność, po to tylko, by zrobić na złość swojej matce, zapalczywej rasistce. Już po wypuszczeniu dilerów, lekko zakłopotany, wysuwa ze zmieszaniem z rękawa lewą rękę, którą rzekomo kiedyś ktoś mu odciał i której poszukiwania stanowiły niemalże sens jego życia. Po odnalezieniu "zguby" chce odpalić ładunek znajdujący się w jego pokoju, ale nawet tego nie może zrobić, bo przezorny Mervyn zabrał mu wcześniej zapalniczkę.

Finał świadczy o tragikomicznym charakterze prezentowanej historii, którą można odczytać jako opowieść o upartym i bezskutecznym poszukiwaniu sensu egzystencji. Niestety, w spektaklu Any Nowickiej historia ta od pewnego momentu wywołuje już tylko salwy śmiechu. Głównie za sprawą gry aktorskiej, która wydaje się zbyt "lekka" i ciąży ku farsie. Aktorzy niemal zapominają o konwencji dreszczowca, stąd trudno się dziwić, że głębsze aspekty opowieści McDonagha, również te obecne w inscenizacji Katarzyny Deszcz, w ogóle nie doszły do głosu.

Jak bardzo sukces realizacji "Jednorękiego ze Spokane" zależy od gry aktorskiej, uzmysłowiło mi obejrzenie tego samego przedstawienia dwa dni później. Tym razem aktorzy za bardzo pogłębili psychologię postaci, co zaowocowało wprowadzeniem powagi tam, gdzie de facto jej nie było, a większość śmiesznych dialogów po prostu nie wybrzmiała. W efekcie spektakl był niewiarygodny dla widzów, którym narzucono kontemplację w skupieniu i ciszy. Czekam zatem z niecierpliwością na kolejny, który w asyście prawdziwej trwogi - doprowadzi widownię do salw śmiechu. Bo tak by było dla McDonagha najlepiej.

**

Agata Dąbek - doktorantka na Wydziale Polonistyki UJ, autorka książki *Polski Faust. Wątki faustyczne w polskiej dramaturgii XX wieku* (2007), współredaktorka monografii zbiorowej *Publiczność (z)wymyślana. Relacje widz - scena we współczesnej praktyce dramatopisarskiej i inscenizacyjnej* (2009).